



CZASOPISMO ILLUSTROWANE TYGODNIOWE  
DLA DZIECI.



CZYTANIA WIECZORNE.

X.

Niedziela znowu nadeszła, znowu znana nam rodzina była zgromadzona, ale zanim pan Kański wyszukał ustęp do czytania, Józia, która przerzucała książkę do nabożeństwa, zapytała:

— A do jakiej poezji zaliczamy poezje zawarte w książkach do nabożeństwa?

— Czy nie mogłabyś sama sobie na to odpowiedzieć?—odparł p. Kański.

— Jakim sposobem, drogi ojcze?

— Zastanawiając się nad ich treścią, odparł p. Kański.

— W tych poezjach—rzekła namysławiac się Józia—poeci wielbią mądrość, dobroć i wszechmoc Boga, albo

wyznają mu swe błędy i proszą o przebaczenie, albo wzywają jego miłosierdzia.

— A więc—wnioskował p. Kański—coż oni wyrażają?

— Uczucia swe—podchwyciła Józia—a więc to poezja liryczna czyli uczuciowa.

— A ponieważ poeci zawsze w nich mówią do Boga i o Bogu, przeto zwiemy ten rodzaj poezji lirycznej poezją religijną, czyli opiewającą nasz do Boga stosunek. Poezji religijnej różne są rodzaje; głównie wyróżniamy Hymn i Psalm. Ale kiedy o tem mowa, przeczytajmyż najpiękniejszy hymn, jaki mamy w języku naszym. Czytaj, Kaziu.

Kazio czytał:

PIEŚŃ

Jana Kochanowskiego.

Czego chcesz od nas, Panie, za twe hoj-  
[ne dary?

Czego za dobrodziejstwa, którym niemasz  
[miary?

Kościół cię nie ogarnie, wszędy pełno cie-  
[bie,

I w otchłaniach i w morzu, na ziemi, na  
[niebie.

Złota też, wiem, nie pragniesz: bo to wszystko twoje,  
Cokolwiek na tym świecie człowiek mieni swje.  
Wdzięcznłem cię tedy sercem, Panie, wyznawamy,  
Bo nad nie przystojniejszej ofiary nie mamy.

Tyś Pan wszystkiego świata, tyś niebo zbudował,  
I złotemi gwiazdami ślicznieś uhaftował.  
Tyś fundament założył nieobeszłej ziemi,  
I przybrałeś jej nagość zioly rozlicznemi.

Za trójem rozkazaniem w brzegach morze stoi,  
A zamierzonych granic przeskoczyć się boi:  
Rzeki wód nieprzebranych wielką hojność mają,  
Białą dzień, a noc ciemna swoje czasy znają.

Tobie kwoli rozliczne kwiatki wiosna rodzi,  
Tobie kwoli w kłosianym wieńcu lato chodzi.  
Wino *jesień* i jabłka rozmaite dawa,  
Potém do gotowego gnuśna *zima* wstawa.

Z twój łaski nocna rosa na mdłe zioła padnie,  
A zagorzało zboża deszcz ożywia snadnie.  
Z twoich rąk każde zwierzę patrzy swój żywności,  
A ty każdego żywisz z twój szczerobliwości.

Bądź na wieki pochwalon, nieśmiertelny Panie,  
Twoja łaska, Twa dobroć nigdy nie ustanie.  
Chowaj nas, póki raczysz, na tej nizkiej ziemi,  
Jedno niech zawsze będziemy pod skrzydłami twemi.

— A kto mi opowie treść téj pieśni? Złaje mi się, że Halka?

— Dobrze, ojczu. Treścią téj pieśni jest uwielbienie dobrego i wszechmocnego Boga. Poeta chce Mu złożyć dowód czci i wdzięczności, ale w wielkim jest kłopotcie. Jakąż on, człowiek mizerny, złoży Jemu, panu wszechświata ofiarę? Któż usunie jego wątpliwości? Samego Boga pyta: „Czego chcesz od nas, Panie, Ty, do którego świat należy! I daje sam sobie odpowiedź: Serca naszego, naszój miłości, czci naszój, bo tego, oprócz nas, nikt dać Ci nie zdoła. Chwali go więc i wielbi!

— Ale jakże on to czyni?—zapytał ojciec.

— On tylko wylicza ogrom, doskonałość, piękność dzieł boskich; one same chwałą Boga i świadczą o wielkości Jego. Dopiero w ostatniej zwrotce dodaje swój głos, głos ludzki do głosów przyrody całej, a kończy bła-

ganiem, aby Bóg człowieka zawsze swą opieką otaczał.

— Pieśń to krótka, pełna prostoty—mówiła pani Kańska—a przecie już trzy wieki temu nią się zachwycano, i teraz niemniej piękną się nam wydaje. Ale bo też cztery strofy, od 3-cięj do 6-téj włącznie, to szereg najcudniejszych obrazów. Niebo gwiazdami uhaftowane, ziemia nieobeszła, możnaż piękniejsze znaleźć wyrażenia? A to oddanie potęgi Stwórey, na którego rozkaz morze w brzegach stoi i noc po dniu następuje!

A. *Dzieduszycka.*

## MAJÓWKA W OJCOWIE.

Komedyjka w jednym Akcie.

(*Dokończenie.*)

KAZIO. Wyśmienita szynka! Ani słyszano o podobnej u Zarzyckiej. Luba gospodyni! przebudziwszy się miłą mićć będzie niespodziankę z powodu nieobecności niesfornych uczniów, ochrzci nas naturalnie mianem urwisów, to jój zwyczaj.

FRANIO. Ale co tam w klasie o nas zawyrokują?

KAZIO. Zapiszą w dzienniku „przez trzy dni nieobecni,” no, to mniejsza, ale w skutek tego może parę niernych nasmarują w cenzurze po egzaminach, to sęk. Miałem dotąd same prawie piątki z nauki, a sprawowanie „jak na teraz zadawalniające.”

FRANIO. Mnie także tylko jedna niegodna dwójka zapłatała się z greckiego; (zamyśla się) a właśnie dziś grecki, i matematyka, to *pech!* jakgdyby na złość najtrudniejsze przedmioty, bo i ten francuzki, który znowu ty jakoś nie bardzo... Ależ dogonimy, po co sobie na próżno zatruwać chwile lubych rozkoszy. Ach, jak mi błogo na żołądku! „Natura ma swoje prawa” jak mówi profesor.

KAZIO. Zacny profesor! Co za świetna myśl go natchnęła, aby podążyć do stolicy; interesa jakies ważne, potrważą mam nadzie-



ję, zanim wróci będziemy w domu nad książką; Zarzycka swój o nas niepokój tymczasem przetrawi, a choć przed profesorem oskarży, skończy się na reprimendzie.

FRANIO. Którą naturalnie przyjmiey z pokorą, jak baranki, powracające skruszone do owczarni.

KAZIO. Teraz weźmy się do obliczenia kapitałów, dotąd nienaruszonych. (sięga do kieszeni, szuka przez chwilę, na twarzy jego maluje się wyraz przerażenia).

FRANIO. Co tobie? powiedz, słabo ci się zrobiło?

KAZIO (z rozpaczą). Nieszczęście! Kieszeń rozpruta, pularies przepadł! to straszne.....

FRANIO. Niepodobiestwo! A mówiłem, daj mnie choć połowę do schowania, „dzieciak jesteś niedoświadczony,“ to usłyszałem w nagrodę, jakgdyby to te dziesięć miesięcy w wieku tak wielką stanowiły różnicę; a jednak mi uchybiłeś. (zaczyna się przechadzać szybko, na wpół zmartwiony, na wpół obrażony. Kazio siada wielce zaturbowany z miną winowajcy).

KAZIO. Czém teraz zapłacimy za jedzenie i nocleg?

FRANIO. Żeby to tylko nie pachniało kozą.

KAZIO. A byłoby to gorzej, o wiele gorzej, niż koza w gimnazjum; tam profesowie tego zwyczajni, a pomiędzy kolegami to się jakoś zatrze.

FRANIO. Wstyd zawsze—ale tu, w obcym miejscu, cóż za wypadek straszny!

KAZIO. Wrócić przed przyjazdem profesora już ani myśleć; pytanie, jak nas tu długo zatrzymają; wszystko się wykryje—w głowie mi się kręci. (chodzą wzburzeni).

### S C E N A VIII.

GAJOWY, KAZIO, FRANIO.

GAJOWY (wpadając hałaśliwie). Piotrowa! Nastka! Tam do kata, gdzież się podziały, a Piotr gdzie powędrował, a w jego rewirze strzelają jak najęci. (Franio zakrywa ubraniem wróble. Kazio cofa się tyłem ku dubeltówce. Gajowy zwraca się do Franio).

GAJOWY. Nie wiecie, panicze, gdzie gospodyn?

FRANIO (zakłopotany). Przed chwilą wyszła i zaraz powróci.

GAJOWY. To rabusie psie wiary, plądrują po cudzych lasach, jak gdyby u siebie, ale już potrafię złowić te rybki, kiedy Piotr do niego.

FRANIO (coraz więcej zmieszany). Czy deszcz przestał już padać? Nam tak pilno w drogę...

GAJOWY. Co mi tam deszcz, mnie o ważniejsze rzeczy chodzi. (odwracając się patrzy uważnie na Kazia). A co to paniczek tak ściągę podpiera? Tam do kata! co ja widzę? Nie daleko mi szukać, kto broi po lesie. A to co? (wyciąga fuzyą z poza Kazia) fuzyjka... A to się tu może znajdzie i zwierzyna.

FRANIO (na wpół z płaczem pokazując wróble). To tylko dwa wróbelki.

GAJOWY. A tak, wróbelki, od wróbelka do zajączka, od zajączka do rogacza, od rogacza—do kozy.

KAZIO i FRANIO (głosem błagalnym). Panie gajowy! Już tego nigdy nie zrobimy.

GAJOWY. Kozą jak koza, to się w sądzie pokaże, ale fuzyjka moja.

KAZIO. To nie nasza, pożyczona, pana profesora.

GAJOWY. To mnie wszystko jedno, zabieram u kogom znalazł i ten będzie odpowiadał. (Kazio i Franio go zatrzymują). Nie mam czasu. (wychodząc) No proszę, ktoby to był pomyślał, takie smarkacze.

### S C E N A IX.

KAZIO i FRANIO.

KAZIO. Cóż teraz pocniemy?

FRANIO. Do sądu nas wezmą!

KAZIO. Do więzienia wtrącą!

FRANIO. Rodzice co powiedzą?

KAZIO. Jak ojciec się będzie gniewał!

FRANIO. Jak się mama zmartwi!

KAZIO. Będą nas mieć za złodziejów...

FRANIO. Jesteśmy na zawsze zhanbieni!

(Chwila milczenia, Kazio spogląda w okno i staje skamieniały).

KAZIO. To on!

FRANIO. Kto?

KAZIO. Profesor!

FRANIO. A fuzya stracona—uciekajmy!  
KAZIO. Ale gdzie, którędy? (biegną ku drzwiom).

FRANIO. Już przed drzwiami stoi!

KAZIO. Schowajmy się pod tę płachtę (padają na ziemię pod płachtę, pokrywającą kości i kamienie, chowają się pod nią, tymczasem wchodzi Bibułekiewicz).

## SCENA X.

BIBUŁKIEWICZ, (FRANIO, KAZIO pod płachtą).

P. BIBUŁKIEWICZ (rozpromieniony). Skarby! Same skarby! Zapewniona moja sława, przetrwa wieki! uznają ją pokolenia! Rozgłos imienia Zefryna Bibułekiewicza dosięgnie dalekich świata krańców, a te nieme głazy (wskazując na płachtę) świadczyć będą o ważności moich poszukiwań (wyjmuje z kieszeni kilka kamieni, przypatruje im się przez chwilę, lecz odwracając oczy, spostrzega na stole pozostały chleb i szynkę). O posiłku dla mdłego ciała nawet zapomniałem, a jednak nie tak nie zaostrza apetytu, jak naukowe badania. Wreszcie, natura ma swoje prawa. Gospościa dobre śniadanie mi przyrządziła. (siada i zajada) Przyznać trzeba, że te przysmaki nie były znane trzociorzędowemu człowiekowi...

## SCENA XI.

CIŻ SAMI, PANI ZARZYCKA z PIOTROWĄ  
potém NASTKA.

PANI ZARZYCKA (wpadając z gniewem wola we drzwiach). A urwisy, nicponie, bębny jakies! (Spostrzega, staje jak wryta, Bibułekiewicz przerażony). A i pan profesor tu! Cóż to pan tu robi? Powrócił pan już z Warszawy?

PAN BIBUŁKIEWICZ. Moja Zarzysiu..

PANI ZARZYCKA. Coś to w tém jest.

PAN BIBUŁKIEWICZ. To jest... właściwie.., ja die byłem w Warszawie, ale cóż ty tu znów robisz?

PANI ZARZYCKA. To takie były interesa, kościska pan tu zbiera; a toż pan miał się starać w Warszawie o tę jakąś piękną posadę.

P. BIBUŁKIEWICZ. Moja dobra Zarzysiu...

PANI ZARZYCKA. Kamienie pan znosi i mnie oszukuje.

P. BIBUŁKIEWICZ. Bo ty tego zrozumieć nie jesteś w stanie, moja Zarzysiu.

PANI ZARZYCKA. Wielkie mi takie mądrości ta pantalonogia...

P. BIBUŁKIEWICZ. Ależ paleontologia, Zarzysiu...

PANI ZARZYCKA. Wszystko jedno, zawsze to skaranie boże, bo pan domu nie pilnuje, a na mnie kłopoty się wala.

P. BIBUŁKIEWICZ. Cóż tam znów za kłopoty?

P. ZARZYCKA. A toć ci śliczni nasi wychowawcy drapnęli mi wczoraj.

P. BIBUŁKIEWICZ. Jakto drapnęli?

PANI ZARZYCKA. No, umknęli bez śladu a ja muszę ich szukać, i byli tu, i miałam ich już, i pan im pewno dał uciec, a teraz co ja pocznę nieszczęśliwa! (siada zasapana).

PIOTROWA (na stronie). A to ta jejmość ostro trzyma swojego pana. (Nastka wchodzi).

P. BIBUŁKIEWICZ. Zarzysiu, uspokój się, wzruszenie takie uszkodzić może twoje delikatne zdrowie, chciej mnie zrozumieć i pojąć wielkość mojego zadania, którym żyję i oddycham.

PANI ZARZYCKA. O tak, zadania, zapewne leżą nietknięte w szufladzie. Pan nieraz ledwie nad niemi oddycha, ale te urwisy wolą zbijać baki po świecie.

PAN BIBUŁKIEWICZ (ciągle z zapalem). I dziś traf szczęśliwy nadzwyczajnym mnie obdarzył okazem. Oto wydarte ziemi zęby trzociorzędowego człowieka, żywiącego się w ówczas bujną roślinnością (wyjmuje krótki z długimi zębami grzebień).

NASTKA (uradowana). A toćto grzebień mój własniusienki, zgubiłam go w tamten tydzień z kieszeni przy kopaniu, dziękuję Wielmożnemu Panu stokrotnie. (bierze grzebień).

P. BIBUŁKIEWICZ. Dziewczę naiwne! (zamyśla się) są wprawdzie podobieństwa w przyrodzie dotąd niedocieczone.

PANI ZARZYCKA (zbierając resztki do koszyka). Nie wiele co zostało; a toż pan tu się musiał wygłodzić, kiedy taki ma apetyt.

P. BIBUŁKIEWICZ (wyjmuje róg barani). Skamieniała powłoka przedpotopowego padalca,



dzis mogąca służyć jako drogocenna czara do wychylania upajających nektarów.

PIOTROWA (do Nastki). Baran zawrot zdechł u Bartłomieja i takutenkie miał rogi.

P. BIBULKIEWICZ (ciągle z zapalem). Któż pojąć zdoła całą bezdenną głębią nauki! O tak, skarby moje! (zbliza się do płachty) tak, te szczątki, powtarzam, te szczątki dla mnie żyją, chodzą, mówią. (ciągnie za płachtę, z pod której wychodzą Kazio i Franio).

NASTKA. Kościżyją, chodzą, mówią! (z krzykiem twarz zakrywa i ucieka za drzwi, pani Zarzycka mdleje, Piotrowa biegnie do niej z wodą, trzeźwi, następnie wyprowadza ją do alkierza).

P. BIBULKIEWICZ (jednocześnie ciągnie chłopców naprzód sceny). A, łobuzy! uciekać, kto was to tego nauczył, a to mi konduita!

KAZIO i FRANIO. Panie profesorze! przebac, to pierwszy i ostatni raz w życiu, przyrzekamy.

P. BIBULKIEWICZ. Przebaczyć? Czyż podobne szaleństwa mogą ująć bezkarnie?

FRANIO. Kaziu, przyznajmy się od razu do wszystkiego.

KAZIO. Tak, ukarż nas, panie profesorze, ale oszczędź rodzicom żmartwienia.

FRANIO. Pożyczylśmy pieniędzy od Szmula.

KAZIO. Zgubiliśmy je w drodze.

FRANIO. Jedzenie niezapłacone.

KAZIO. Fuzya zabrana przez gajowego.

FRANIO. Sądzić nas mają!

P. BIBULKIEWICZ. Kogo sądzić? Jaka fuzya?

KAZIO. Fuzya pana profesora.

FRANIO (nieśmiało). Pożyczylśmy ją sobie na majówkę.

KAZIO. Dla bezpieczeństwa.

P. BIBULKIEWICZ. Piękne bezpieczeństwo! szczęście, że jeden drugiemu w łeb nie strzelił.

FRANIO. Panie profesorze! Uratuj nas od hanby!

P. BIBULKIEWICZ. Powiem wam, chłopcy: ani myśleć ratować was od kary, jaka was czeka w klasie za samowolne opuszczenie lekcji; tam musi być sprawiedliwość. Ale tu chętnie wam dopomogę w waszym kłopotcie, bo widzę, że dosyć uznajecie waszą winę. Pamiętajcie tylko, że każde głupstwo popelnio-

ne ukarże was samo następstwami swemi, a w dalszym życiu nie będzie rodziców ani profesora, aby was ratować. Pamiętajcie tylko o tym zawsze, a ta wasza niewczesna Majówka w Ojcowie będzie zbawiennym wspomnieniem.

KAZIO. O tak, pamiętać będziemy Majówkę w Ojcowie.

FRANIO. I dobroć pana profesora.

P. BIBULKIEWICZ (na stronie). Powarzone chłopaki! przyznali się do wszystkiego. Robiło się także różne wybryki w młodości!

## S C E N A XII.

Ciż SAMI, GAJOWY za nim NASTKA,  
PIOTROWA, potem p. ZARZYCKA.

GAJOWY (z fuzyą w rękę). Piotrowa, macie list z poczty dla podróżnego pana (ogląda się, Piotrowa podaje list p. Bibulkiewiczowi, p. Zarzycka wchodzi z Piotrową). A... są tu jeszcze moje ptaszki.

KAZIO do FRANIA. Jeszcze fuzyi nie zaniósł do sądu.

P. BIBULKIEWICZ (rozerwawszy kopertę). Zarzysiu! Cieszymy się, otrzymana posada!

P. ZARZYCKA (przybiega). Przenosimy się do Kielc?

P. BIBULKIEWICZ. Zaraz po egzaminach!

P. ZARZYCKA. Dziękiż Bogu; a toż tam w Kielcach cała moja familia.

P. BIBULKIEWICZ. A widzisz Zarzysiu, powiedziane jest: „Szukajcie mądrości, a reszta wam będzie dana w dodatku.“ Szukając nauki, znalazłem posadę, i zbiegów, którzy przepraszają, obiecując solennie poprawę.

(KAZIO i FRANIO spoglądają na p. Zarzycką zawstydzeni).

P. ZARZYCKA. Co się działo w Pińczowie o tym nie mówmy, mam nadzieję, że się i panowie z nami do Kielc przeniesiecie. Jak szczęśliwie, żeśmy się wszyscy znaleźli.

NASTKA (smutnie). Tylko naszć Krasuli jak niéma, tak niéma.

KAZIO. Czy to krasa krowa wam zginęła?

NASTKA. Zginęła wczoraj i dotąd jej ani widno.

FRANIO. Widzieliśmy w poblizkiej wiosce w karczmie krasą krowę, o której mówiono, że znaleziona w lesie.

PIOTROWA (przybiegając). O paniczu mój złoty! Jakże ci za te słowa podziękuję, coś panicz słyszał jeszcze? czy też to naprawdę nasze bydlątko? (mówią dalej półgłosem, Nastka się do nich zbliża, obie kobiety wyglądają uradowane).

KAZIO (nieśmiało do profesora). A jakże będzie z fuzyą?

P. BIBULKIEWICZ (do gajowego). Wszak mi ją oddacie, to moja własna, a oto pozwolenie. (wyjmuje papier z pugilaresu).

GAJOWY. Nie panie, pozwolenie wzięto w defraudacyi.

PIOTROWA. Ej, oddajcie kumotrze, oddajcie, to takie jeszcze młode.

PANI ZARZYCKA. I głupie.

NASTKA. I Krasulę nam wynaleźli.

PIOTROWA. Wróbla tylko zabili.

GAJOWY. No, po waszój woli kumo, dla nikogo nie zrobiłbym tego. (oddaje fuzyą).

P. BIBULKIEWICZ (ogląda fuzyą). Pewnie brudna (próbuję fuzyą, wypala w górę, krzyk przerażenia kobiet).

GAJOWY. Wielmożny panie!

P. BIBULKIEWICZ. To nie, ona już nie nabita.

PANI ZARZYCKA. No, a teraz jedźmy, by zawczasu myśleć o pakowaniu do Kielce! do Kielce!

P. BIBULKIEWICZ (spoglądając na swoje zbiory). Tak, i moje skarby, do Kielce!

PIOTROWA i NASTKA. A my do Krasuli!

## SPIEW.

PIOTROWA.

Gdyby nie moja głowa taka mądra była,  
Nigdyby to ta jejność do nich nie trafiła,  
Znalazły się już zbiegi znalazła i krowa,  
Bo w jednym jak i w drugim mądra moja  
[głowa.

NASTKA.

Jużem się już frasunku swojego pozbyła,  
Przyniosę ją z odpustu podarunków siła,

Dobre i te dwa złote, com w darze dostała.  
Bodajbym tego pana często widywała!

GAJOWY.

To te małe rabusie po lesie łążyły,  
Ale ich oczy moje zaraz wysledziły,  
Cóż z tego, kiedy strzelbę wnet oddać mu-  
[siałem,  
O, czemuż mój kumoszce tak popoľgowałem.

KAZIO i FRANIO (razem).

Chociażemy też strachu wielkiego użyli,  
Nic się złego nie stało, w Ojcowieśmy byli;  
A teraz trzeba oddać Szmulowe pieniądze,  
Więc weźmy nogi zapas i dalej do książki.

Żal szczery i pokuta wszystkie winy gładzi,  
A smutne doświadczenie nigdy nie zawadzi;  
Już teraz wiemy dobrze, co swoboda znaczy,  
Gdy człowiek na następstwa zawczasu nie  
[baczy.

P. ZARZYCKA.

Już teraz wszystko dobrze i cieszę się wielce,  
Obaczę więc naprawdę niezadługo Kielce?

PAN BIBULKIEWICZ.

Jedziemy, zabieramy wszystkie skarby moje,  
Oplacą się sownie i trudy i znoje.

CHÓR (wszyscy).

Wszak roczek nowiusieńki dzisiaj zaczyna-  
[my,  
Niechaj w nim powodzenia wszelkiego do-  
[znamy,  
A wy, szanowni państwo, coście się zebrali,  
Czyżście nas też aby łaskawie słuchali?  
Żyjcie nam w długie lata wesoło, szczę-  
[śliwie,  
I zdrowo i pomyślnie na tój Polskiej ni-  
[wie.

KONIEC.

X. X.



# W NOC ŚWIĘTOJAŃSKĄ.

O B R A Z E K

przez Paulinę Krakowową.

Cudna noc letnia zeszła nad naszą Białowieżką puszcza, tym ogromnym lasem, co siedm mil kraju wzdłuż, a sześć wszęsz zajmuję i w gęstwinach swoich kryje nie jedną wieś i miasteczko, już uświetnione wspomnieniem głośnych królewskich łowów, już prostemu, leśnemu przemysłowi oddane.

Cztery rzeki użyźniają i ożywiają tę przestrzeń: Narew, Narewka, Leśna i Biała; drzewa liściaste i szyszkowe wszelkiego wzrostu i objętości, gładkie i chropowate kory, przytulają się do siebie, szeleszcząc zgodnie; od dłoniastego liścia kasztanów do cieniuchnych modrzewich igiełek, znajdziesz tu wszystkie. Niema na całym Polski obszarze krzewu, jagody, szyszki, mchu lub porostu, któregoby baczne oko nie spotkało w tém naturalném muzeum, gdzie wszystkie roślinne skarby tak rozległej kiedyś ziemi stanęły, jakby do przeglądu lub zachowania.

Toż samo bogactwo i różnorodność leśnego zwierza: od polnej myszy, szkodnej łasicy i nikczemnego tchórza, do dzików, niedźwiedzi, ogromnych łosi z rozłożystemi rogami, aż do rzadkich i nigdzie już indziej nie spotykanych żubrów, wszystko tu ma swój obszar, swój przysmak i swoją głęboką a zaciśną knięję, gdzie sobie podług upodobania swobodnie życie urządzić może.

Podczas owej letniej nocy, od wieczora już niezwykła cisza wraz z perlistą rosą zstępowała na tę uroczą okolicę; świat roślinny i zwierzęcy, podług zwykłych prawideł, skłaniał się ku spoczynkowi, ale ludzie pośpieszali dokończyćienne zajęcia, bo dziś każdy miał na myśli wesołą lub poważniejszą rozrywkę.

Dziewczęta dążyły na łąki po kwiecie, by uwite ozdobić wieńce puszczać z biegiem Narwi lub Leśnej i po ich kierunku wróżyć sobie na rok obecny suty czepiec gospoisi, lub zieloną z ruty koronę. Gajowi i ich slu-

żba, smolarze i potażnicy, gonciarze, wonczosznicy, obrabiający klepki rozmaitej wielkości na kufy i skopki, pasterze i pastuszki, stosownie do wieku i upodobania dzielili się rozmaicie.

Młodzi palili w dozwolonych miejscach stosy gałęzi, tańcząc przy nich i nucąc kupalne śpiewki, starsi, patrząc na nich i nasłuchując, wspominali młode swoje lata, popijając piwko i wódeczkę. Wśród tego cichego i zamkniętego zwykle w sobie ludu szła ożywiona rozmowa; bo też to było wielkie doroczne święto, dzień Świętego Jana, a raz na rok, kiedy sobótki płoną, kiedy woda wzbiera w rzekach, nie dziw jeśli i w ludzkich sercach silniej wzbiorą uczucia i skąpo codziennie liczone słowa do głośniejszego się tonu nastroją.

Byli też tacy, co rozproszeni po puszczech zasiadali samotnie na czaty, by dopatrzeć, jak o samej północy paproć ma zakwitnąć i temu, który téj chwili dopilnuje, odkryć zaklęte skarby świata całego i objawić mu, czy się one na ziemi czy w jej głębi znajdują.

Nie mało takich chciwych i ciekawych było w puszczy naówczas; młodzi i starzy, mężczyźni i kobiety probowali szczęścia, ale też w Białowieży nie brakuje paproci i każdy znalazł cienia i samotności do woli.

Księżyc był w pełni; srebrne jego światło zdawało się zlewać szerokiém morzem z niebios na ziemię we śnie pogrążoną; jak strugi jasnych wód spływało w najgłębsze ciemnice i oświecało wszystkie zakątki puszczy. Zdała od drogi, wśród ścięzionych zarośli, między strzępiastymi liśćmi paproci, zasiadło troje dzieci wieśniaczych.

Franek i Marta, najstarsze pociechy zamężnego gonciarza, oddawna wybierali się szukać kwitnącej paproci i ułożywszy to na dziś między sobą, czekali sposobności od samego wieczora. Gospodyni z kumoszками zwołała dzieci na „kupały“ obiecując, że przy ognisku spotkają ojca, co tam miał podążyć z roboty z pełnemi kieszeniami obwarzanków, ale malcy, już takiej ucztynie nieraz pamiętne, pragnęły czegoś nieznanego jeszcze; skoro więc coraz częstsze następować zaczęły spotkania znajomych i sąsiadów, za-





DRZEWORYTANIA WARSZAWSKA

W Noc Świętojańską. (Rysunek M. Kotarbińskiego).



wróciły nieznacznie i ująwszy się za ręce postąpiły w gąszeza.

Po drodze ujrzeni Tomka, jednego z gromadki pastuszków, co stojąc na ścieżce, namyślał się, gdzieby pójść, kiedy wszyscy gdzies śpieszyli, bo było już zapędzono do obór i stary Aleksy z Cyrylem zostali przy niem na straży.

— Pójdź z nami szukać paproci! — rzekła Marta, bo choć ona niedawno chciała iść zdala od innych, teraz wołałaby mieć liczniejsze towarzystwo, bo mimo jej lat dwunastu strach ją ogarniał, gdy sobie przypominała wszystkie dziwy, jakie się w noc świętojańską dziać zwykły, by odstraszyć szczęśliwego znalazcę cudownego kwiatu.

Tomek nie miał rodziców, dobry i zręczny, silny i śmiały, starszy od obojga rodzeństwa, lubił szczerze te dobre dzieci; często, kiedy na nich wypadła kolej iść do pomocy przy trzodzie, rozmawiały z nim życzliwie, zachęcały go do zabawy i dzieliły się nieraz przysmakami, o które łatwiej było gospodarskim dzieciom, niż ubogiemu sierocie. Nie wiele on dbał o to, bo w puszczy każdy sobie łatwo wynajdzie to plastr leśnego miodu, to jaja ptasie, to orzechy lub buczynę, ale cenił ich pamięć i miła była samotnikowi życzliwość młodych towarzyszy.

Odpłacał się im po swojemu, to Frankowi wyrzezał ozdobne biczysko w rodziczne kreski i kółka białe, na podziw zazdrośny innych pastuszków, to dla Marty z lipowego drzewa wystrugał gładziutką przesłiczkę z różyczką u wierzchu, to krzyżyk z bukszpanowego drzewa, który dziewczę radośnie zaniósło do chaty, to znów kubek dębowy z ptaszkiem od uszka pochylonym, jak gdyby w środek zaglądał, że aż gonciarka dziwiła się tej robocie i kiwając głową zawiesiła krzyżyk nad łóżeczkiem swojej dziewczyny, a kubek na najwyższej postawiła półce.

Pilnując trzody, nie mało jest do czynienia; należy jej dobrze doglądać i strzedz bacznie, by ani w szkodę nie weszła, ani jej sama sobie nie zrządziła, by się krowy nie bolidły i żeby im leśne węże, okręciwszy się o nogę, mleka nie wypijały. Najczęściej starsi pasterze zaganiają do tych posług młodych chłopaków, sami tylko zdaleka na nich uwa-

żając, lecz mimo to, od świtu do zachodu słońca, w długie dni letnie zostaje im jeszcze ogromnie wiele czasu i na próżnowanie, i na drzemkę, tak łatwo przychodzącą w upały i na zabawę wspólną, głośną, czasem tylko lekkomyślną, lecz czasem złą i szkodliwą. Rzadko gdzie rozsądniejsi zwracają na to uwagę; tak od dawnych lat bywało, któżby to miał odmieniać? Ale za to, w rozumieniu wiesniaków, pastuszek a psotny próżniak, jedno i toż samo znaczy.

Nie takim był Tomek; robił co mu kazano, należał nieraz do zabawy, ale najchętniej lubił siedzieć sam jeden pod drzewem, a wtedy z korzonków wypłatał koszyki i opalki, wyrzynał różności z dobranego drewna, a jeżeli mu się dostał do rąk jakiś kawałek drukowanego papieru, wyszukiwał sobie litery, zapaniętane jeszcze z Ochronki i szczęśliwym był, gdy mu się znany jakiś wyraz ułożyć udało.

Teraz, zszedłszy się z gonciarzami, towarzyszył im chętnie, ale nie okazywał tego gorącego zajęcia, z jakim oni dążyli ku upragnionemu odkryciu.

— A wiesz ty, jak szukać kwiatu paproci? — zapytał Franek.

— Nie wiem, a jakże?

— Najprzód trzeba siedzieć cichutko — rzekła uroczyście Marta — na żadne głosy nie uważać, a potem patrzeć w kwiatek jak w tęczę, a jak kwiatek zabłyśnie, chwycić go ostrożnie i uciekać do domu, choćby nas cała puszcza goniała.

— A potem?

— Co potem? Oto będziesz miał wszystkie bogactwa, jakie są na świecie.

— Na cóż mnie to? Albo to u mnie matka, siostry czy bracia? Cóż ja bym z bogactwem robił?

Dzieci spojrzały na niego zdziwione, a Marta, wzruszając ramionami, rzekła wzgardliwie:

— Choćbyś mnie dał, kiedy sam tyle jeszcze nie rozumiesz. — Dziewczynka znać była nie głupia, ale Tomek zapytał:

— Przecież ty sama przyszłaś po taki kwiatek, cóżbyś z dwoma robiła?

— Cicho! — zawołała rozdrażniona — jeste-



śmy u krzaku, gadać nie wolno, a jeszcze głupstwa!

I zasiedli w milczeniu, patrząc w cieniste zarośla. Franek nie spuszczał z oka pierzastych liści, Marta pochyliła się ciekawie nad niemi i Tomek spoglądał z zajęciem to na ciemne gałęzie, przegrodzone rozłożystą lipą od księżycowego światła, to na Martę, ścisnącą go trwożnie za rękę. Cisza była głęboka; nagle nieopodal dało się słyszeć:

— Uhu! Uhu!

— O dla Boga! co to jest — szepnęła Marta.

— Puhacz się gdzieś w dziupli odzywa — uspokajał ją Tomek.

— Cicho bądź — rzekła półgłosem, a tymczasem w powietrzu tu i owdzie zajaśniał świętojański robaczek, tak obficie ukazujący się o tej porze.

— Hu! Hu! Hu! Hu! zabrzmiało znów z wysoka; Marta oparła się całym ciężarem na Tomku, drżąc jak w febrze.

— Czyż nie poznajesz głosu sowy — rzekł pastuszek.

— Nie mów nic, bo wszystko przepadnie!

Tymczasem coraz więcej świetlików furczało w powietrzu, całemi rojami osiadały na liściach, krzak w fosforycznym oświetleniu czarowne sprawiał wrażenie; młodzi strażnicy zapomnieli prawie, że tu po coś jeszcze ciekawszego przybyli, lecz za chwilę opamiętali się i jakby jedną myślą wiedzeni, że wśród tych światełek może właśnie błyszczeć i kwiat paproci, oboje rodzeństwo poczęło rwać całemi garściami długie liście z całą zdobiącą je illuminacją. Tomek spoglądał na nich z zadziwieniem, gdy wtém rozległ się z oddali gruby, przeciągły ryk żubra, powtórzony przez okoliczne echa.

— Uciekajmy, uciekajmy! — krzyknęła Marta — widać że mamy kwiat, kiedy gonią za nami?

I puściła się tak szalonym biegiem, że ją obadwa chłopcy doścignąć z początku nie mogli i już się obawiać zaczęli, że im się wśród drzew zabłąka, gdy żalosne narzekanie wskazało im miejsce, gdzie szukać mieli dziewczyny. W nierozważnym pędzie zaczęła się o niedostrzeżony pień zwałonego wiazu i ciężko się rozbiła, a osobiwie zwi-

chnęła nogę tak, że o postąpieniu kroku myśleć nawet nie było można. Wzięli ją zatem chłopcy pod ręce, zamierzając unosić po nad ziemią nie ciężkie dziewczę, lecz to ją mężczyło zbytecznie, Tomek zatem, jako silniejszy, wziął ją jak dziecko na ręce i smutnie, cicho, przez znane drogi i dróżki puścił się ku zagrodzie gonciarzy.

Marta, lubo cierpiąca, uspokoiła się powoli; weszli w porębę, Franek, idący naprzód wśród pieńków, wskazywał Tomkowi drogę, a ten zmęczony przysiadł na jednym z wyższych, by wytechnąć na chwilę. Na porębie widno już było, drzewa nie zasłaniały widoku nieba, na którym świt szarzyć zaczynał, ale było chłodno i ranna rosa opadała obficie; wstrząśnięte umysły dzieci otrzeźwiały pod tym wpływem, Marta podniosła głowę, spojrzała na siebie, pociągnęła ręką po rozprostowanym fartuszką i rzekła smutnie:

— A kwiat paproci?

Franek zerwał czapkę z głowy, bo mu się zdawało, że w nią nakładł świecących gałązek, ale nie w niej nie było, prócz dwóch robaczków, które z brzękiem wyfrunęły w powietrze.

Tomek podniósł się i poszedł dalej ze swoim ciężarem; droga odbywała się w milczeniu; gdy doszli do celu, znaleźli drzwi zamknięte, gonciarze tylko co wrócili z biesiady, pewni, że ich dzieci wyprzedziły do domu, poszli zobaczyć, czy spokojnie pozasypiali.

Naraz dał się słyszeć głos matki, wołającą z rozpaczą:

— Dzieci mojej! dzieci zginęły gdzieś w puszczy, może je i zwierz dziki rozszarpał.

— Uspokój się, kobieto! — namawiał ojciec. — Pójdę zaraz do sąsiadów może się z kim zabrali.

Niebawem drzwi się otworzyły i na progu ukazał się gonciarz z narzuconą na ramiona kapotą, za nim stała żona zawodząca głośno i załamująca ręce, dzieci nieśmiało pospuszczały oczy, a Marta rękami swoje przyśłoniła.

— Oto masz zbiegów — rzekł ojciec wesoło — mówiłem, że im się nic złego nie stało.

— O, niedobre dziecili jakiegoście mnie



strachu nabawili — wyrzekała matka. — Chodźcież do domu, wypać się trzeba, a i po ciebie, Tomku, Aleksy chłopaków rozsyła.

Ale Marta kroku postąpić nie mogła, wzięła więc ojciec na ręce, i kiedy około ułożonej na łóżeczku krzątała się strapiiona matka, ojciec wypytywał, jakim sposobem lekko nogie dziewczę mogło takiej uledek przygodzić i po troszę usłyszano w chacie opowiadanie całej wyprawy.

— Po skarby więc, po bogactwa dzieci moje poszły nocą do puszczy! — zawołał z oburzeniem gonciarz. — Czy to wam chleba w domu brakuje? Czy ja nie dość pracuję od rana do nocy, by wam na niczem nie zbywało, a matka wam nie dość dogadza?

Struchlały dzieci, bo nigdy jeszcze nie widziały ojca w takim uniesieniu; sądząc, że się usprawiedliwią, zaczął Franek na przemian z Martą tłumaczyć:

— Ależ bo to idzie o ogromne, zaklęte skarby.....

Tu z kąta izby podniósł się gruby i głęboki głos dziadka, o którym myślano, że spał jak najlepiej. Późny ruch w domu, płacz gospodyni, jęki Marty i opowiadanie obójga dzieci, przerwały mu spoczynek; podniósł się, włożył kożuch i stanął oparłszy się we drzwiach. Białe włosy i siwa długa broda, wśród mrocznej izby, otaczały jakby światłem twarz pooraną zmarszczkami.

— Skarby — rzekł nakoniec; skarby zaklęte? a kto śmie niepoświęconą rękę wyciągać po to, co zaklętym zostało? A kto to śmie sięgać po skarby, na które nie zapracował?

— Ojczel! — rzekła z prośbą gonciarka — później! biedna Marteczka potłukła się... cierpi...

— Właśnie póki cierpi, niechaj prawdę usłyszysz — odrzekł dziad — lepiej ją zapamięta. Strzeżcie się dzieci bogactwa, coby wam bez własnej pracy przyjść mogło, bo taki skarb, to błotna rzeka; albo wypływa z bagna, albo wiedzie do kałuży, a kto po niej żegluguje i sam czystym pozostać nie może.

(d. n.)

## Pamiętne chwile.

*Dzień 26 Czerwca r. 1295.* Lat 237 miało, jak w Gnieźnie Bolesław Śmiały, prawnuk Chrobrego, koroną ozdobił skronie, lat 237 Gniezno nie widziało podobnej uroczystości, gdyż po zbrodni, jakiej król się dopuścił, po strasznym zabójstwie popełnionym na Skałce i groźnym interdykcie rzuconym przez Papieża na kraj cały, nikt nie śmiał splamionej krwią biskupa Stanisława korony włożyć na skronie. I zdawałoby się mogło, że Bóg zagniewany na cały naród za to, że król jego śmiał kapłana zabić, rzucił nań szereg klęsk i nieszczęść. Już od lat wielu Polska pogrążoną była w zamęcie, ciągle niezgody domowe, ciągle napady obcych wyludniały jej miasta, do ubóstwa wioski doprowadzały. Upadały zamki, upadały grody, rządna niegdyś monarchia stała się smutnym obrazem nieładu w domu, pośmiewiskiem dla obcych. Aż oto r. 1295 rozbiegła się po kraju radosna wieść, że po długich zatargach obrano księciem Przemysława Wielkopolskiego, pra-pra-wnuka Bolesława Kędzierzawego. Książę ten znanym był jako mąż dzielny, waleczny, wspaniały i zamożny, gdyż prócz Wielkiej Polski posiadał jeszcze Pomoranią. Żądał korony, bo czuł się zdolnym do spełnienia tak ważnych obowiązków, jakie korona polska pociągała wówczas za sobą i naród mu ją z ufnością powierzył. Przemysław zebrał rycerstwo, i do Gniezna, starożytnej stolicy królów podążył. Śmiały, dzielny, postanowił on wskrzesić dawny blask państwa i jak niegdyś Bolesław Chrobry, jak poprzednicy Śmiałego czynili, koronę włożyć na czoło. Przyklasnął naród jego zamiarom, jakoż dnia 26 Czerwca r. 1295 odbyła się świetna koronacja Przemysława. Otoczony przedniejszymi panami, ustrojony w białą dalmatykę, płaszcz purpurowy i złociste trzewiki, udał się król do katedry, gdzie stał tron dlań przygotowany. Wszedłszy tutaj Przemysław zasiadł na tronie, a przedniejsi panowie stanęli obok i dwoje pacholąt; z tych jedno trzymało szkarłatną poduszkę, na niej świeciła korona, berło i złote



jabłko; drugie poduszkę białą, a na téj leżał szczerbiec Chrobrego. Poczém zbliżył się do tronu arcybiskup Gnieźnieński Świnka w asystencyi kilku biskupów i zapytał głosem uroczystym Przemysław, czy chce rządzić sprawiedliwie, nikomu krzywdy nie czynić i kraj od nieprzyjaciół bronić. Przemysław, podniósłszy się z tronu, wzruszonym głosem wyrzekł: Chcę — i ukłęknał przed arcybiskupem i przysiągł, że jedyném jego staraniem będzie pracować dla dobra kraju. Arcybiskup zdjął wtedy z poduszki szczerbiec i przypasał mu go do boku, a jeden z biskupów, Jan Muskata, obnażył królowi ramiona, poczem Świnka go namaścił, drugi biskup, Jan Gerbisz, sięgnął po koronę i podał arcybiskupowi, który włożył ją na czoło świeżo namażzonego króla. I powrócił Przemysław na tron, podano mu w jedną rękę jabłko królewskie, w drugą szczerbiec i dzwony zabrzmiały radośnie, organy w świątyni zagrały na cześć Wszechmogącego, który dozwolił Polsce znowuż dnia tak szczęśliwego doczekać.

Po odbytej uroczystości koronacyjnej, król powrócił na zamek, gdzie turnieje i inne zabawy trwały aż do północy, bo lud cały, szczęśliwy uroczystością, jaką obchodził, całą duszą zabawie się oddawał. Koronacya Przemysława łączyła w całość rozdzielone od Krzywoustego ziemie, kładła zatem koniec domowym zatargom, zapewniała pokój znużonemu domowemu rozterkami krajowi.

Naród cieszył się tém szczerze, wesoło obchodził dzień koronacyi Przemysława, ale obcy, ale sąsiednie narody, Krzyżacy i Brandeburczycy, krzywém okiem na nią patrzali. Polska zjednoczona, Polska zgodą domową się ciesząca, to Polska dla nich stracona, więc postanowili zwichnąć dzieło w samym początku, wtrącić ją na nowo w zamęt domowych zatargów i naradzili się między sobą i uknuli spisek na życie Przemysława. Gdy Król pojechał na zapusty do miasteczka Rogoźna, a było to w kilka miesięcy po koronacyi, napadli go śpiącego i w sypialni zamordowali. Padł ich zdradą dzielny, młody, pełen nadziei król; ale mimo to idea jedności nie opuściła ziemi polskiej, złęczone dzielnice nie rozerwały się... Wprawdzie chwilo-

we niezgody domowe zakłóciły znowuż kraj, ale Władysław Łokietek zażegnał je niebawem, powrócił pokój krajowi i za przykładem Przemysława koronę czoło ozdobił, przeniósł tylko stolicę z Gniezna do Krakowa, gdzie odtąd wszyscy jego następcy się koronowali.

*Teresa-Jadwiga.*

## PRZYGODY NIEUSTRASZONYCH PODRÓŻNIKÓW

W PUSZCZACH AFRYKAŃSKICH.

(*Dalszy ciąg.*)

IX.

Rzeka Kongo. Powrót króla Gobi do stolicy.

Losy dwóch więźniów na jego dworze.

W pierwszych dniach swéj podróży w orszaku króla Gobi, Barthet i Guillois parę razy probowali ucieczki, ale im się nie udawało, w końcu król, obawiając się o tę szacowną zdobycz, kazał obu młodzieńców umieścić w mocnej sieci z włókien kokosowych, uwiązanej do kija bambusowego; dwóch niewolników niosło ich na plecach, zupełnie jak ryby w siatce. Nasz Gobi chciał koniecznie wprowadzić tryumfalnie dwóch białych ludzi do swojej stolicy, chciał się pochwalić przed całym narodem tak rzadkim nabytkiem. Wyobrażał sobie zdumienie swoich poddanych, gdy ujrzą, że biali ludzie, których oni mieli za jakieś wyższe od siebie istoty, są niewolnikami królewskimi. Dotąd w państwie króla Gobi widziano tylko jednego białego człowieka, a urzędnicy, którzy towarzyszyli monarsze, gdy prowadził oddziały niewolników na sprzedaż, cuda o tych dziwnych istotach opowiadali. Gobi taką był dumą przejęty, jak dawni rzymscy wodzowie, gdy wiedli za wozem swym tryumfalnym zwyciężonych królów.



Podróż trwała dni kilkanaście, w końcu karawana przybyła na wybrzeża rzeki Kungo, czyli Kongo, zwaną przez krajowców Wielką rzeką, przez Portugalczyków Zairą. Górny bieg tej rzeki mało jest jeszcze znany, chociaż w ostatnich czasach wielu odważnych podróżników zapuszczało się w głąb afrykańskiego lądu. Nieszczęśliwi więźniowie ujrzeli wreszcie stolicę króla Gobi, leżącą na lewym brzegu rzeki Kongo i zwaną Mata-Zamba. Miasto składało się z kilkuset chat, zbudowanych sposobem bardzo prostym z trzciny bambusowej, z takimże trzcinowem ogrodzeniem. Budynek tego rodzaju może być ukończony w przeciągu kilku godzin; za drzwi i okna służą proste otwory, które się na noc zamykają plecionkami bambusowymi. Pałac królewski mało się różnił od innych mieszkań, był tylko trochę obszerniejszy, podzielony na kilka pokoiów i miał nawet po środku wielką salę matami wysłaną, gdzie się odbywały uroczyste przyjęcia. Ściany jęj przyozdobione były rozmaitą bronią, fajkami i czaszkami ludzkiemi; były to szczątki nieszczęśliwych ofiar, poświęconych na ołtarzu wielkiego bożka Maramba. Król uważał te czaszki za szacowne amulety i wierzył święcie, że one go obronią od wszelkich niebezpieczeństw a zwłaszcza od szkodliwego wpływu złośliwych duchów.

Gdy król Gobi odbywał wjazd do stolicy z licznym swym orszakiem szambelanów i wojowników, z ogromnym taborem bogactw, zebranych ze sprzedaży niewolników, prowadząc za sobą w tryumfie dwóch białych więźniów, tłumy mieszkańców wyległy na jego spotkanie i z takim zapalem go witano, że monarcha, potrzebujący spokoju po nużającej podróży, musiał wiernych swoich poddanych odpędzać z drogi kijem, ażeby mu nie dokuczali zbyt wiele. Przybywszy do pałacu, kazał przywołać ministrów, którzy podczas nieobecności jego zarządzili krajem, a spostrzegłszy, że zanadto się przez ten czas wypaśli i ledwo przez drzwi mogli się wcisnąć, kazał natychmiast dwom najgrubszym lby poćcinać, a resztę porządnie obić kijami, żeby jaknajprędzej schudli. Zastał też i w własnej rodzinie trochę nieporządków i nieporozumienia rozmaite, ale z łatwością

pogodził zwaśnionych tymże samym sposobem, to jest kijami, a tak dopełniwszy obowiązków monarchy i ojca rodziny, przywróciwszy porządek i spokój w państwie i w domu, sam także wypoczywał po trudach podróży i zajął się dwoma białymi niewolnikami. Zapowiedział im, że będą pełnili służbę wyłącznie przy jego dostojnej osobie, zaraz też kazał im się zabrać do czyszczenia jego broni i sukien, potem mieli uprawiać w ogrodzie pałacowym grzedy manioku, który był przeznaczony wyłącznie na stół królewski. Korzeń tej rośliny jest głównym pokarmem murzynów w Afryce południowej. Znawcy odróżniają kilka gatunków manioku, wszystkie jednak dość są podobne do siebie. Gatunek pospolicie uprawiany w okolicach rzeki Kongo ma być najlepszy. Jest to krzew niewielki, o liściach ciemno-zielonych, podobnych nieco do liści rącznika (*ricinus*) korzeń jego ogromny sięga czasem trzech stóp długości, przytem jest gruby, mięsisty i sokiem mlecznym wypełniony. Korzeń ten dostarcza smacznej i pożywnej maki, ale może być używany bez niebezpieczeństwa dopiero po dokładnem osuszeniu i wyparowaniu soku, który jest gwałtowną trucizną. Nie dziw, że dostojny król Gobi osobiście zawsze czuwał nad uprawą swojego warzywnego ogrodu i przyrządzaniem manioku. Grzedy tej szacownej rośliny otoczone były żywopłotem z krzewów kolczastych; tam wkrótce po przybyciu swoim do stolicy Barthet i Guillois rozpoczęli ogrodnicze swoje zajęcia. Wprzód jednak przez kilka godzin wystawieni byli na placu publicznym, gdzie ich oglądały do woli ciekawe tłumy, a król im zapowiedział, że jeśli się ośmielą pomyśleć o ucieczce, natychmiast oddani będą w ręce kapłanów i ofiarowani na ołtarzu wielkiego bożka Maramba.

W najodleglejszej części ogrodu, w cieniu drzew kwitnących, stała mała chatka z gałęzi wypleciona; dwaj przyjaciele, zużyci i wycieńczeni, ledwo mieli siłę dowieść się do niej, pomagając sobie wzajemnie, a nie przemówiwszy ani słowa rzucili się na posłanie z zeschłych liści i po raz pierwszy od dni piętnastu usnęli snem twardym i spokojnym.



## XII.

**Życie dwóch więźniów. Ogród królewski. Geografia botaniczna. Zamiar ucieczki. Szczególne od-wiedziny. Momtu-Sambu.**

Nazajutrz dwaj więźniowie, przebudziwszy się, ujrzeni na progu swojej chatki miskę drewnianą, napelnioną jakąś szczególną potrawą z manioku, z dodatkiem tureckiego pieprzu, ogromne naczynie z wodą i kilka bananów w koszyku. Były to wspaniałomyślne dary króla, który raczył przypomnieć sobie przy śniadaniu, że biali jego niewolnicy od wczoraj nie jedli. Po raz to pierwszy od chwili swojego uwięzienia dwaj przyjaciele byli sami i mogli się rozmówić swobodnie. Gdy przeszła krótka chwila gwałtownego wzruszenia, zaczęli się razem zastanawiać nad położeniem swoim i naradzać nad tém, jak dalej postępować mają.

— Wymknąć się ztąd, jakimbyś sposobem, oto jest cel, którego dopiąć musimy, nie zważając na żadne trudności i przeszkody—rzekł w końcu Barthet do towarzysza.

— Zgadzam się na to zupełnie—odparł tamten—ale jest kilka warunków niezbędnych do skutecznienia tego zamiaru. Musimy najpierw poznać dokładnie położenie kraju, upatrzyć drogę, która nas doprowadzi do którego ze znanych miast portowych, wreszcie wystarać się o broń, ażebyśmy mieli się czém od napaści zabezpieczyć.

— Mój przyjacielu—odpowiedział Barthet—jeśli dopiero po dopełnieniu tych przygotowań mamy się puścić w drogę, to coś mi się zdaje, że wszystkie dni żywota naszego spędzimy na dworze króla Gobi, czyszcząc jego zbroje, amulety i fajki.

— Ależ roztropność nakazuje przedewszystkiém...

— Słuchaj - przerwał młody oficer—ja ci te wszystkie trudności rozwiążę w kilku słowach. Najpierw co do położenia kraju: Szliśmy ciągle w stronę północno-wschodnią, i od ujścia rzeczki Rio das Mortes dostaliśmy się na wybrzeża rzeki Kongo, lub przynajmniej jednego ze znaczniejszych jej dopływów. Gdybyśmy ciągle postępowali w kie-

runku wschodnim, dotarlibyśmy niezawodnie aż do nieznanych źródeł téj rzeki, która wypływa może z téj samej skały lub góry, co i Nil, dążący w stronę przeciwną. Wnoszę ztąd, że znajdujemy się obecnie mniej więcej pod 5 stopniem szerokości geograficznej południowej, i pomiędzy 24 i 27 st. długości, w sąsiedztwie którego z wielkich jezior, Kofua, lub Tanganika, może po samym środku pomiędzy obydwoma. Powtóre: co się tyczy drogi naszej, téj wytknąć z góry nie możemy, ani oznaczyć portu, do którego zmierzać mamy. Nam o to tylko idzie, ażebyśmy się dostali jaknajprędzej do brzegu, a ponieważ nie znamy drogi, najrozsądniej postąpimy, trzymając się biegu rzeki Kongo; tym tylko sposobem nie zbłądzimy w tych nieznanych puszczach. Ach, gdybyśmy mogli znaleźć przewodnika!

— I dobrą broń w dodatku!

(d. c. n.)

### Łamigłówka liczbowa. (K. Gr.)

Z 14 liter imię i nazwisko znakomitego historyka. Przystawiając litery, jak następuje, ułożyć 14 wyrazów, których pierwsze litery utworzą toż samo imię i nazwisko.

- 1, 4, 3, 2, 5, zwierzę wodne, *halak*
- 2, 1, 3, miara, *ang*
- 3, 11, 12, 13, imię, *woch*
- 4, 1, 2, rzeka, *okag*
- 5, 4, 12, 13, podziemie, *loch*
- 6, 2, 3, 10, 14, zwierzę, *saxua*
- 7, 8, 10, nazwisko poety, *lau*
- 2, 5, 1, 14, ptak, *aha*
- 9, 8, 10, imię, *hu*
- 10, 4, 12, część doby, *we*
- 11, 6, 1, owad, *osa*
- 12, 2, 5, miara, *cal*
- 13, 2, 5, 1, 14, tytuł opery, *halaka*
- 1, 2, 3, 14, ptak, *aha*



## Łamigłówka w kwadraciku. (Wł. N.)

W kwadraciku z 9 podziałek ułożyć: 4 A — 1 C — 2 L — 1 H — 1 S — aby odczytać w obu kierunkach: 1) Miarę. 2) Wykrzyknik. 3) Zbiór drzew.

## Rozwiązania do Nru 24.

### Kryptografu:

Kociel garnkowi przygania, a obydwaj smolą.

### Z a g a d k i:

Adam — mada — dama.

### Łamigłówki krzyżkowe:

N  
K O Ń  
D Y W A N  
N O W I C K I  
J A C E K  
O K A  
I.

## Odpowiedzi od Redakcyi.

Anulce J. w Niszowcach. Wszystkie nadesłane zagadki są wyborne, serdecznie dziękujemy. Fotografia obrazu Krudowskiego kosztuje kop. 50. Braciszkom zasylamy pozdrowienie. Odpowiedz na resztę listu będzie w następnym Nrze Pisma.

Kostusi K. Żądany arkusz powieści odesłaliśmy do wskazanego kantoru, proszę się o niego upomnieć. Siostryczka Zosia, za to że liścik zmigła, sama do nas kiedyś napisze, jak troszkę urośnie.

Helence Z. Zawsze to powtarzamy najszczerzej, że liściki, choćby najczęstsze, nigdy nam dokuczyć nie mogą. Cieszymy się, że *Tajemnica starego dworu* tak się wszystkim czytelnikom podoba, już niezadługo powiastka ta się skończy, następnie rozpoczniemy inną, niemniej zajmującą a. Łamigłówka trafić rozwiązana.

P. Maryi L. w Konatkowcach. Książka wysłana, przepraszamy za opóźnienie, ale zabrakło jej w księgarni warszawskich, więc trzeba było ze Lwowa wypisać. Pozostaje do rozporządzenia pani 90 kop.

P. Janinie D. Rękopis pani złożony jest w Redakcyi i może być odebrany w każdym czasie.

### POD PRASĄ: •

## HISTORIA Powszechna

DLA MŁODEGO WIEKU

opowiedziana według najnowszych źródeł

przez ZARĘBĘ.

Tom I obejmujący historję starożytną Egiptu i państwa Babilońsko - Assyryjskiego ukaże się za parę tygodni. Wszyscy życzący sobie otrzymać to dzieło natychmiast po wyjściu z druku, raczą nadsyłać przedpłatę wprost do Redakcyi z dołączeniem dokładnego adresu. Cena I Tomu: 30 kop., z przesyłką pocztową 40 kop., kartonowany 40 kop., z przesyłką 50 kop. Można nadsyłać odrazu przedpłatę na dwa tomy, gdyż drugi ukaże się także w roku bieżącym.

Treść. — Czytania wieczorne, przez Anastazję Dzieduszycką. — Majówka w Ojcowie, komedyjka w jednym Akcie, (dokończenie). — W Noc Świętojańską, obrazek, przez Paulinę Krakowową, (z drzeworytem). — Pamiętne chwile, przez Teresę-Jadwigę. — Przygody nieustraszonych podróżników w puszczach Afrykańskich, (dalszy ciąg). — Łamigłówki. — Rozwiązania. — Odpowiedzi od Redakcyi. — Ogłoszenie. — W dodatku *Tajemnica Starego Dworu* (powieść)

Prenumerata wynosi w Warszawie: *Rocznik* Rs. 4 i kop. 10 na Szpital Dziecinny. *Kwartalnie* Rs. 1 i kop. 2 1/2. *Miesięcznie* kop. 34 i pół. Na Prowincyi i w Cesarstwie z opłatą poczt: *Rocznik* rs. 5 i 10 kop. *Kwart.* rs. 1 kop. 27 1/2. W Poznaniu u N. Kamińskiego: *Rocz.* 14 marek. *Kwart.* 3 marki 50 fenig. Z przesyłką pocztową na prowincyi *Rocz.* 16 marek. *Kwart.* 4 marki. We Lwowie u Gubrynowicza Schmidta *Rocz.* 7 złr. 20 cent. *Kwart.* 1 złr. 80 cent. Z przesyłką poczt. na prowincyi: *Rocz.* 8 złr. 80 cent. *Kwart.* 2 złr. 20 cent. w Krakowie u Gebethnera i Sp. *Rocz.* 6 złr. 60 cent. *Kwart.* 1 złr. 65 cent. Z przesyłką poczt. na prowincyi: *Rocz.* 8 złr. *Kwar.* 2 złr.

Biuro Redakcyi: Ulica Ś-to Krzyżka Nr. 14.

Дозволено Цензурою. Варшава, 6 Іюня 1881 года. — Редакторка і Wydawczyni Ludwika Hauke.

Czcionkami M. Ziemkiewicza i W. Noakowskiego, Krakowskie-Przedmieście Nr. 415.